

Tragedja Rosji.

(Z dziennika „Russkaja Wola“.)

Czy ojczyzna nasza jest w niebezpieczeństwie? Odpowiadam wyrazie i szczerze tak, jak mi moje sumienie nakazuje. Tak—Rosja znajduje się w niebezpieczeństwie—jest bliska śmierci—i nie wiem czy po upływie miesiąca czy też pół roku będzie jeszcze istnieć lub się rozpadnie. Nie wiem tego—chcę wierzyć, że żyć będzie, wzywam pomocy historii świata, wzywam pomocy cudów i wyteżam całą moją siłę wyobraźni, aby nie popaść w zwątpienie, a jednak — nie wiem — nie wiem.

Być może, że wszystko to, co mówię jest nie na miejscu, może powinienem twarz rozjaśnić wesołością pomimo, iż rzeczywistość jest przykra, lecz niechaj nikt nie wymaga ode mnie faktu przy życiu uciierającego. Smutne to, że i Niemcy znają nasze położenie o wiele lepiej, niż my sami.

O to jest straszne!

„Głód.“

Widzę, jak zbliża się — niepostrzeżenie. Żołnierz cierpi niedostatek — konie padają z braku paszy. My w miastach z trudem możemy się wyżywić. Jak długo trwać może stan taki? Nikt tego nie wie. Nowa rewolucja jeszcze nieleży, a tymczasem jest tylko niepewność. Być może, że przetrzamy, być może że za tydzień braknie żywności, a wygłodzone wojsko opuści rowy strzeleckie i cofnie się, niszcząc wszystko po

Cicha letnia noc...

Cicha letnia noc dokoła,
Rozbudzone gwiazdy drżą,
Usnął gwar codzienny słota,
Łąki, sady, chaty śpią...

Czasem tylko psów szczekanie
Niby smutek, niby żal.
Niby szloch, bezdomne łkanie —
W zadumaną leci dal...

Cicha letnia noc nad nami...
Tam, pod lasem płynie śpiew
Z łąk skoszonych, pól woniami
I modlitwą nocnych drzew...

Ktoś przez śpiące idzie pola
Nad łąki rosy płynie głos:
Dolaż moja, dola, dola,
Jednakowy wszędzie los!

Cicha letnia noc na straży
Srebrzystymi płacze łąki —
— Coś się duszy marzy... marzy...
Jakieś wizje... jakieś sny!

Roman Musiałik.

drodze żywiołową siłą. Bezsilne, niezdeterminowane zarządzenia rządu i jego odezwy do ludu chybają celu. Ciemne, nieświadomione podziwne masy chłopów zamykają swe dusze — i spichlerze. Nie zdązą się raz jeszcze na ufność. W

pierwszych dniach rewolucji, gdy wszystko zdawało się drżeć w posadach — dał i chłopak jakiś wagon zboża, lecz gdy minęły tygodnie i miesiące — stracił znowu zaufanie i zakopał się w głębiach swego rozczarowania, samolubstwa i obawy

wywołanej nieufnością do rządu. I jedna tylko jest różnica, przedtem nie wierzył Mikołajowi II — a teraz rządowi i Radzie robotniczej i żołnierskiej.

Druga okropność, której zbliżanie się spostrzegam to

„Rozprężenie w armji“

Muszę być ostrożnym przy omawianiu tej sprawy — wszak to „tajemnica wojskowa“! Jednak taka tajemnica, której nikt tak dobrze nie zna i nie wyzyskuje, jak Niemcy. Pragnę wszakże złagodzić zbyt jaskrawe barwy i zamilczeć niejedno. Pragnę tego — jednak nie mogę tak przymknąć powiek, abym nie widział, jak z dniem każdym w wojsku rozkład wrasta i jeżeli rozkład ten w tym samym stopniu postępujeć będzie — wkrótce nie będziemy mieć wcale wojska.

Zuawca pewien, wyrażając się o stanie wojsk, użył wyrażenia „jest rozwodnione“ — lecz wojsko to jest na najlepszej drodze do zupełnego rozplyniecia się.

Jakie tego powody? zawsze te same: nieufność do rządu, pełne sprzeczności zarządzenia i oświadczenia co do pokoju.

Żołnierze mają tak samo mało zaufania do swych oficerów, jak i do swych własnych komitetów żołnierskich. A bezwładni, popadający w zwątpienie oficerowie nie myślą już o wojnie, lecz o tem, w jaki sposób mają kierować tą krzykliwą wciąż konspiracyjną masą, która na placu boju na najważniejszych odcinkach frontu zatrzymuje się nagle, aby uczcić święto wolności, lub dać upust wymianie myśli o Milukowie i pokoju bez zdobyczy.

A gdy samo słowo:

„DUCHY NOCY“.

Dr Adolf Köster, sprawozdawca wojenny opisuje w sposób poniższy wrażenia z przejażdżki łodzią podwodną.

Noc ciemna na wybrzeżu belgijskim. Zbliżamy do portu mijając usłonecznione wydmach piaszczystych armaty, których strzegą zeszpane strażnicy w hełmach stalowych. Morze szumi zicha. Nagle rozszepczają cztery grube kolumny wyrzucające słupy czarnego dymu rozświetlanego iskrami. Cztery kolumny, wąskie łódzie gotują się w drodze. Wstępujemy na łódź z odznakami kapturki, petykując się o grubą kurtkę do wyrzucania torped, ocierając łokciami o odkryte działa.

Na głos komendy odrywają się od muru, by wyłynieć na morze. W pół godziny później pędzą w noc czarna bez dymu, bez iskrzy strzałek. Na horyzoncie w stronie południowej podnoszą się rakiety świetlne światła perłowe koło Lombartzyda. Lecz nas gna ciemność i ciemność przytłacza. Pędzimy do kanału w kierunku Anglii. Łódź nasza na czole. Wokół, rozciągając się, cienka stela opartej, wyraża wolę ku życiu, gwałtowną chęć ataku. Ma liczących wrogów. Wszystkich wyczuwa, wyszukuje, ze wszystkich walizy. Lecz najgorszymi nieprzyjaciółmi są miny wszędzie płynące. Okręt linowy może się przed nami zabezpieczyć; łódź podwodna nie może przed niemi ochrony, nie może

jej mieć. Wśród nocy pędzi na oślep całą siłą, wydana na los przypadku. Każdy z załogi wie, że w następnej chwili może wylądować w powietrze, dlatego każdy ma na sobie pas ratunkowy.

Ludzie śpią na pokładzie reortory, wszy się, gdzie kto mógł. Głos dzwonu na alarm postawi wszystkich na nogi. Dotychczas jest cicho; warty na stanowiskach czuwają z wyteżeniem.

Każdej chwili paść może na łódź pierwsza salwa z niedostrzeżonego kontrtorpedowca. To też oczy żołnierzy na warcie stojących chciałyby przebiec noc w poszukiwaniu ciemnych sylwet okrętów, płacht dymu i czerwonych iskrzy z kominów. Lecz nie widzą nic na rozległej ciemnej przestrzeni.

W tem ukazują się sygnały świetlne po lewej stronie pokładu. Niemiecka łódź podwodna daje znak. Od powiedamy takim samym sygnałem świetlnym, poczem następuje znowu ciemność nieprzenikalna.

Schodzimy na chwilę do maszyn i stajemy tam ogłuszeni hukiem. W wązkim przejściu stoja przed ogniskami palącej się ropy półnadrzy, po tam oblań palące; przez otwory kominów sypie na nich mroźne powietrze. Przez niebieskawą szyby widzimy gęstą, do białości rozpaloną ropę, która pędzi turbiny. Można powiedzieć, że palące pełnią rolę swego obowiązku; nie patrzą ni w prawo, ni w lewo; nie widzą nic prócz białych zegarów przed sobą, nie mogą dopuścić, by wskazówki na tych zegarach opadły. Od tego zależy życie całej załogi. Stoja na najniebezpieczniejszym

miejscu, a gdy łódź nasłysza na minę lub gdy grzebi nieprzyjacielski przebieje pokład, czeka ich śmierć niechybna.

Świta, gdy wracamy na górę; gwiazdy bledną, a na statku wszystkie zaczyna nabierać wyrazu. Pewien młody chorąży zaszepcza nam z tajemnicą łódź.

Pędzimy ciągle w tym samym kierunku — ku Anglii. Robi się coraz widoczniej; morze przybiera barwę zieloną. Komendant przeszukuje całą horyzont, lecz ani śladu nieprzyjaciela. Nie widać żadnego peryskopu, żadnego okrętu, nawet żadnej łodzi rybackiej, a płyniemy drogą, która za czasów pokoju jest głównym traktem żeglugi handlowej w północnej Europie.

Nagle słyszymy szum nad głowami. Sygnały świetlne rozdzielają mrok starego poranka. Doganiają nas dwa wielkie, czarne statki: dwa niemieckie hydroplany. Telegrafem iskrowym udzielają nam ostatnich wiadomości. Przepliwają nad nami z furtotem i znikają w oparach wstającego poranka.

Potem oglądamy na mapach przebieg drogę. Daleko za nami została wybrzeża belgijskie; jesteśmy blisko coraz bliżej Anglii.

Wszedłszy na wysoki, dla oficera artylerii przeznaczony pomost oceniamy szaloną szybkość łodzi i teraz dopiero odczuwamy całą rozkosz tej jazdy. Słony wiatr poranny zalewa nam z twarzy zmęczenie; nikt z nas nie myśli o minach, o wrogach, o przeznaczeniu łodzi, o celu w jakim płyniemy — przez chwilę nikt nie pamięta o wojnie. Morze rzuciło na nas urok, —

poddało myśl o wolności i nieskończoności.

Chwilę zapomnienia skracają głośnie walenie z pokładu. Zbiegamy się wszyscy patrząc we wskazywany kierunek na czarny punkt. To mina. Bawia się nią fale, to zakrywając, to wyrzucając w górę. Do maszynistów biegnie rozkaz nawrotu; ku łodziom za nami sygnał zwolnienia jazdy na pół szybkości. Łódź nasza wykonuje zwrot, podajemy ku minie, którą oglądamy z bliska.

Jest to swera mina, kształtu kuli, obrosła wodorostami. Może już dawno wybuchła? Na wszelki wypadek karabin maszynowy zwraca się ku niej. Tak tak tak... Lecz pociski padają z respektem zdaleka od kuli tańczącej na falach. Wreszcie tufa ją jeden pocisk, przebiega piaszczystą, zauszając do zniknięcia w zielonej głębi.

Słońce wyszło ponad horyzont; już dzień, a w dzień nasze łódzie, ciemne duchy nocy, nie mogą ryzykować dalszej jazdy. Jesteśmy niedaleko Duvru — tak blisko wybrzeży Anglii. Pustka dokoła. Nikogo na całym trakcie handlowym, ani Francuza, ani Anglika. Tylko szereg dymu sztandar niemieckiej półfloty podwodnej powiewa wesoło w słońcu porannym.

Łódzie kołysz się wśród białych wiat, jakby odpoczywały zmęczone. Lecz wnet pokazują się nowe chorągiewki u masztu sygnały powrotu. Turbiny podejmują swą pracę, drga cała łódź. Nasza wysuwa się znowu naprzód i pędzi pełną parą ku wybrzeżom belgijskim, wiedząc za sobą siostrzyce.

„Pokój“

zdolne jest w obszarze wojny nieobjętym do głębi poruszyć każdą wolnomyślną duszę—to wszczepione w duszę znużonej armii, może wyrzucić skutek taki, jak iskra w beczce prochu.

A jakże niesłychanie są nasi żołnierze zmęczeni i wyczerpani; mają za sobą trzy lata smutnej wojny i obaloną tyranie, która jedną ręką dzierżyła tak wysławiany miecz — a w drugiej od wszelkiego wypadku propozycję odrębnego pokoju. Ileż wycierpiał to wojsko wskutek złego kierownictwa, samolubstwa, ambicji generałów dostarczających żeru armatom, ileż wskutek nigdy nie milnących pogłoszek o przekupstwie i zdradzie. Podłożą te osłabiły ducha.

Pada nagle słowo pokój — może rychły — może już nawet jutro, bo czyż inaczej rozprawianoby o tem tak gorąco, czyż formułowano by warunki — któż więc jeszcze ma ochotę narażać się na kule, gdy może już jutro zjawi się tyle pożądanego pokój ze swemi błogosławieństwami, któż chciałby umrzeć w chwili, gdy Rosja jest wolna a życie w niej tak poważnie się uśmiecha.

Przejdę teraz do najtrudniejszej kwestji, do naszych

„Sprzymierzeńców“.

Sprawa to męcząca, straszniejsza niżeli głód i bezład wewnętrzny przytłacza nasze sumienie — gdyż stoimy nad przepaścią wiary i omyłki i omyłki nie zdradziliśmy już przyjaciół i sprzymierzeńców.

Serbja i Belgja, ciężko ugodzone płacą nad swymi ruinami. A sprzymierzeńcy z oczyma rzucającymi błyskawice spoglądają w stronę wspólnej przysięgi. Stoją ze zmarszczoną brwią i czekają. Co się stanie, gdy czekać przestaną — trudno powiedzieć. Lecz wszyscy to wiedzą — wtedy będzie koniec Rosji.

Spoglądam dalej i widzę coraz to nowe niebezpieczeństwo — sądzę, że wolność Rosji zrodziła się pod nieszczęśliwą gwiazdą.

Oblubienica w wianku żałobnym.

Ruina finansowa.

Codzieli wydajemy „na wydatki“ 30 milionów — a pieniędzy wciąż brak. Im śpieszniej pracuje drukarnia banknotów, tem szybciej pograża się w przepaść bankructwa nasz wzgardzony rubel. Nasz wielce szanowny sąsiad Finlandja wzbrania się już i to zupełnie słusznie, przyjmować nasze piękne, czyste papierki, a wkrótce i nasi kupcy uchylą się grzecznie od ich przyjmowania. Co wtedy z nami pocznemy? A owa pożyczka „wolnościowa“, jakaż to gorzka satyra! Marzyciele myśleli, że wolna rewolucyjna Rosja i jej lud, który się poczuje poraż pierwszy panem swej ziemi i swego złota, rzuci się jak jeden mąż do podpisywania pożyczki. Tymczasem podpisuje Ameryka, podpisują Górsburgowie, mocarze finansowi, żydowskie banki zbierają pieniądze w celu podpisywania; inteligencja łachmanami okryta śpieszy, znosząc de-

monstracyjnie honoraria literackie i lekarskie. Lecz lud? — I lar rewolucji? Odwraca się z zakłopotaniem od nowej pożyczki, a potem po długim namyśle i rozmyśle, wielkodusznie zezwala aby pożyczkę innym zalecić.

Nikogo nie oskarżam. Kogóż miałbym oskarżać, gdyśmy wszyscy winni. Kogóż karać z tych 170 milionów przestępców?

Leonidas Andrejew.

BITWA pod JASTKOWEM

Przed paroma dniami 31 lipca oraz 1 i 2 sierpnia przypadała rocznica krwawej, bohaterkiej bitwy Legionów z Moskalami pod lubelskim Jastkowem. Dla przypomnienia Lublinowi i Lubelszczyźnie tej bitwy podajemy poniższy artykuł, zaczerpnięty z „Kurjera Lwowskiego“.

Bitwa pod Jastkowem, stoczona przez 1. brygadę Piłsudskiego i 4 pułk piechoty L. P., należała do najkrwawszych i stanowi jedną z najpiękniejszych kart w historii Legionów.

Miejscowość Jastków oddalona jest o milę na północny zachód od Lublina, to też bitwa, jaką stoczyły tu Legiony, posiadała wielkie znaczenie dla wyniku operacji wojskowych pod Lublinem. Żołnierz polski nie zawiodł nadziei, jakie w nim pokładano, oddając mu tak ważną misję — ochrony lewego skrzydła sił, pracujących na Lublin. Wszak chodziło o uwolnienie Królestwa z pod panowania despotyzmu carskiego, a dodawała sił nadzieja rychłego ujrzenia ukochanej stolicy Polski, do której żołnierz polski dążył wytrwale, mimo trudów i niebezpieczeństw, aby ją ujrzeć wolną i szczęśliwą za swym przybyciem... Ta odwaga i pogarda śmierci żołnierza polskiego pod Jastkowem — tem bardziej godna zaznaczenia, że odbył tu chrzest bojowy 4 pułk piechoty, niedawno zorganizowany w Piotrkowie i wysłany na pole walki, zatem wojsko niedoświadczone w boju i nieprzyzwyczajone do trudów wojennych.

Krwawa walka toczyła się przez trzy dni: 31 lipca, 1 i 2 sierpnia 1915 r. Warunki były dla Legionistów niepozytywne, gdyż pozycje polskie znajdowały się na otwartym polu i były wystawione na gwałtowny ogień rosyjski, podczas gdy Rosjanie posiadali silne okopy, umocnione zasiekami z drutu i niewystawione bezpośrednio na działanie artylerji. Dowództwo spoczywało w rękach bryg. Piłsudskiego, który z narażeniem życia kierował sam szturmem. W atakach na bagnety odznaczył się 3 bataljon 4 pułku, złożony z byłych Karpatczyków pod komendą kapitana Szerzuka, cudów waleczności dokazał 1 bataljon 1 brygady pod wodzą kapitana Galicy, jakkolwiek składał się z żołnierzy nowozaciekanych — Królewaków, pierwszy raz biorących udział w walce.

Ogień artylerji nieprzyjacielskiej i karabinów maszynowych spowodował dotkliwe straty w polskich szeregach. Brygada Piłsudskiego łącznie z 4 pułkiem straciła 60 zabitych i około 400 rannych. Zginęli między innymi: podpor. Jamróg, chor. Rolński i chor. Bereski. Cel walki jednak został osiągnięty. Dnia 3 sierpnia brygadjer Piłsudski wkroczył do Jastkowa i dał rozkaz ściągania pobitego wroga.

Zwycięstwo pod Jastkowem także z tego powodu zasługuje na uwagę, że przyczyniło się w wysokim stopniu do uwolnienia ziem podlaskiej z pod panowania prawosławia, które za rządów carskich starano się parzyć ludności za wszelką cenę. Ludność ta jednak przetrwała prześladowania i

słuszną jest nadzieja, że spełni nadal swe postawienie wobec Narodu, broniąc kresów wschodnich i utrwalając na nich kulturę polską i religję katolicką.

St Rayski.

Z książek i pism.

„Dekada“.

Pismo żołnierza polskiego.

(Rok 1. Numer 1. 1 Sierpnia.)

Z uczuciem ulgi odczytaliśmy nagłówek powyższy. Z uczuciem ulgi, gdyż oczekiwanie na pismo tak niezbędne poprostu było może zbyt długie. Nie ma armji na świecie, która by szeregu wydawnictw dla żołnierzy nie miała. Dla naszych ochotniczych szeregów było ono tem większą potrzebą, że tu zacięciem głównym wojska był nie obowiązek służby, ale idea.

„Wśród zgłęźu walk i zapasów olbrzymich wykuwa Opatrzność zręby Wolnej Polski“, — pisze Redakcja — „Odmywa się pleśń i rdza z gmachu Wolności... Z zebranych Legionów krępe kroki stawiamy się Wojskiem Polskim...“ gdy przez niebo Legionowa przewalili się czarne chmury rozbiła... przychodził do Ciebie żołnierz polski „Dekada“, przychodził, by nieść ci ochotę, wiarę i pomoc“.

Treść 16 to stronnicowego nru jest dość obfita. Od Redakcji, „Rocznica“ 6 go sierpnia 1914 r. Obszerny referat dzieła prof. Tokarskiego p. t. „Gazeta armji Król. Kongresowego“ Programowy artykuł „Sprawa Wojska Polskiego“ niby przed frontem „rąbie prawdę“.

Dalej wspomnienie szalterjusza o śmierci kap. Pękzyca — Grudzińskiego i wyjęta z pisma tej świątecznej postaci „Uwagi o mustrze“. Niech broń nasza nie rdzewieje“. Bibliografja, kronika i różne wiadomości zamykają ciekawy numer.

Cena numeru 20 fenigów.

Życie a szkoła.

Napisał Roman Zawiliński.

(Nakład Gebethera i Wolffa)

Auter podejmuje zawsze żywoty temat wychowania i wykształcenia młodzieży. A problem ten tem aktualniejszy, że poruszony w chwili, gdy zdobywamy wolność i o sobie samych stanowić będziemy, o naszych obowiązkach narodowych, do których naszą młodzież od początku naszego bytu samodzielnego zaprawiać należy.

W trzech głównych rozdziałach rozbiiera autor zagadnienie życia rodzinnego, społecznego i narodowego; zadania szkoły w ogóle, a narodowej i wychowania narodowego w szczególności, wreszcie nową prąd w szkole średniej, jej zadania dla narodu, tworząc nowy jej typ i nowe stawiając postulaty w wysiłku indywidualnego nastroju i ducha narodu polskiego. Konkluzja jasna: szkoła powinna uczyć pracy, która jest treścią życia ludzkiego t. j. „szkoła musi być szkołą życia“.

Książka pisana ze swadą, językiem potężnym, naturalnym, pełna ciekawych epizodów z życia, podanych szczerze i prosto, wskutek czego czyta się ją jak powieść.

„Przegląd światowy“.

W polowie lipca ukazał się pierwszy numer dwutygodnika „Przegląd Światowy“. Jest on redagowany i wydawany w Dąbrowie Górniczej przez p. Stefana Gajewicza. Pierwszy numer przedstawia się bardzo dodatnio, tak pod względem obfitości i doboru treści, jak i bogactwa ilustracji. Obecna sytuacja polityczna w kraju i zagranicą oświetlają trefnie dwa naczelnne artykuły.

W osobnym artykule omówiono szczegółowo drażliwą kwestję rzekomej germanizacji wojska polskiego.

Sprawy dotyczące się Legionów zna-

lazły miejsca w specjalnym dziale p. „Przegląd wojskowy“. Dział ten jest bogato ilustrowany podobiznami przywódców Legionów i charakterystycznymi scenami z życia w okopach i obozie.

W dziale poświęconym poszli mieszczono apoteozę do Polski Stefana Gajewicza p. t. „Salva Polonia“ prócz całego szeregu wierszy patriotycznych. „Czwila białą“ ilustrowały sterczące z Polski i ze światu Redakcja zamierza dać opis kraju znawczy całej Polski, rozpoczyna „Warszawą“, uwzględniając przytę obszarze zmiany jakie w niej zaszły od d. 5 sierpnia 1915 r. Prócz tego znajdujemy w tym 48 stronnic liczącym numerze bardzo wyczerpujące konsolidację ze wszystkich stron Polski sprawozdanie z ruchu wydawniczego dział teatralny, ciekawy dział odkrytych wynalazków, „Przegląd lekarski“ i „Przegląd handlowy i przemysłowy“.

Jeżeli dodamy, że i „Sprawy kołowe“ są uwzględniane bardzo obszernie, a dział humorystyki mógłby być wydawany, jako osobne pismo, to należy przyznać, że cena 1 rb. za numeru bynajmniej nie jest wygórowana.

Pojawienie się tak starannie i z rzetelnością z początku, tego rodzaju wydawnictwa na prowincji Królestwa jest pocieszającym dowodem przesłania się żywego ruchu umysłowego z Warszawy również do mniejszych ośrodków.

Mały feljeton.

Pogrzeb spekulanta.

Byłem w tych dniach na pogrzebie spekulanta. Nieboszczyk, z powołania felczer koni, pracował ostatnie w piątku, myśle, narzędziach optycznych, skórce, olejku różanym i t. p. dzięki zaś zaletom swego charakteru zdobył sobie — według kurjera — ogromne poważanie.

Szanowny ten człowiek zmarł wskutek spożycia jakiegoś ersatzu, który wynalazł jego współnik, przeznaczając ten środek spożywczy na użytek szerokiego ogółu, głównie zaś dla młodzieży przy pierści.

Ten powód śmierci przeraził współnika, który niezwłocznie polecił wydać nowe atykiety, tym razem, napisami „odżywka dla świń — środek wypróbowany“. O tym, że środek był wypróbowany wieściła przez nieboszczyka, w reklamie mowy nie było.

Na pogrzebie wspomniano, że nieboszczyk nie chciał umierać i gorzko wyrzucił współnikowi przyczynę swego skonu. Próba ersatzu — twierdził — była zupełnie niepotrzebna, bo wogóle wartości danego towaru winien dawać konsument — nie wytwórca.

Ostatczale jednak wybaczył mu ostrożność współnikowi, prosząc go tylko, żeby nie okradł jego rodziny, jako spekulanta. Wspólnik mu to solennie obiecał.

Potym zgasił, jak przystało na pogrzebie człowieka. Ostatnie jego słowa były:

— Rwie się pasak mojego wota..

Mimo kłopską pogodę, na oddanie ostatniej posługi zgromadziło się wielu osób, szczególnie ze sfery, z którymi nieboszczyk pozostawał w stałych kontaktach handlowych. Kupcy ci powaliali, że nieboszczyk odszedł przedwcześnie, że dużo mógł jeszcze zdziałać, wojna bowiem nieprędko się skończy.

Po opuszczeniu cmentarza przetrzasnął pogrzebowy, grabież, który wziął, kogo grzebie rzeki;

— Nigdy nie jeszcze dolka nie pał z taką przyjemnością.

Banza!